

*Naszym Miłym Czytelnikom*

*przesyłamy z okazji Świąt  
Zmartwychwstania Pańskiego serdeczne  
życzenia, by nadzieja była w nich  
zawsze większa od trosk i niepokojów.*

*Redakcja*

*Wiesław Barczyk*  
*Warszawa*

## **Miodobory i Skalał**

### **Cz. II**

Parafia rzym.-kat. w Skalałacie powstała w roku 1632 za czasów Krzysztofa Wichrowskiego, miecznika halickiego. Pierwszy kościół ufundowała Katarzyna z Szembeków Sieniawska w roku 1643. Budowę nowego murowanego, neogotyckiego kościoła rozpoczęto w 1816 roku. Ukończony został i konsekrowany w 1827 r., pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Kościół ten został w 1898 r. spalony, odbudowany w tym samym stylu w dwa lata później. Znajdował się między rynkiem a murami obronnymi zamku. Uszkodzony pociskami artyleryjskimi podczas zdobywania miasta w 1944 r., mimo uszkodzeń był czynny do 1945 r., kiedy musieli opuścić miasto proboszcz - ks. dziekan Jan Ferens i wikariusze: ks. Józef Zapotoczny-Lisowski i ks. Antoni Romańczuk. (Podczas okupacji wikarym był jeszcze ks. Józef Anczarski, autor książki opisującej martyrologię tutejszych Polaków).<sup>1</sup>

Zdewastowany po 1946 roku kościół, został w latach 70-tych wysadzony w powietrze. Obecnie, staraniem miejscowych wiernych i ich kapłana oraz z pomocą materialną byłych parafian w Polsce - trwa budowa nowego kościoła parafialnego. Zamieszczona foto- grafia przedstawia wzniesione już mury.

W dawnej plebanii, która od 1945 roku przechodziła burzliwe dzieje (przez jakiś czas była kuźnią, piekarnią, szkołą muzyczną) obecnie odrestaurowanej - czynna jest kaplica pw. św. Anny. Z dawnego kościoła zachowały się jedynie dzwony, które przetrwały ukryte w ziemi od 1945 do 1992 roku, a obecnie zawieszono je na prowizorycznej metalowej dzwonnicy przed kaplicą.

Parafialna cerkiew unicka pw. Przemienienia Pańskiego jest czynna. Znajduje się na terenie starego cmentarza unickiego przy wjeździe do miasta i skrzyżowaniu dróg Krzywe - Horodnica. Ostatnim przedwojennym proboszczem parafii greko-katolickiej był tu ks. Onuferko.

Przy tej samej drodze znajduje się też wspólny cmentarz, (rzym.-kat. i unicki), który nie jest zniszczony.

---

<sup>1</sup> patrz literatura.

Murowana bożnica w formie budynku blokowego, z ostro- łukowymi oknami i słabo zaznaczonymi arkadowymi łukami w attyce, przypominała w ogólnym zarysie pomniejszoną i mniej ozdobną bożnicę z Tarnopola. Znajdowała się za rynkiem w sąsiedztwie rz. Gniłej. Obecnie nie istnieje. Ostatnim rabinem był przed wojną Rozenblatt. 16 sierpnia 1943 roku Niemcy utworzyli w sąsiedztwie bożnicy getto, które zajmowało obszar między rzeką, a podwórkami zachodniej pierzei ulicy 3-go Maja i rynkiem. Całkowicie zniszczony cmentarz żydowski, zamieniony został obecnie na boisko sportowe.

Publiczne Szkoły Powszechne, (męska i żeńska) mieściły się w gmachu przy ul. Piłsudskiego. Trzecia szkoła - utworzona podczas okupacji sowieckiej tylko dla dzieci polskich - znajdowała się na przedmieściu przy drodze do Nowosiółki Skałackiej, w dawnym (zlikwidowanym przez sowietów) Sierocińcu.

Kierownikiem szkoły męskiej był przez długie lata Józef Wyrozumski, żeńskiej - Kazimierz Lorenc, a wcześniej Jan Wisiecki, który w 1934 roku przeniósł się do Tarnopola. Kierownikiem trzeciej, tej w Sierocińcu, był podczas okupacji sowieckiej Petro Romaniuk, a w czasie okupacji niemieckiej Wincenty Choma.

W roku 1939 zorganizowane zostało Gimnazjum zlokalizowane w części budynku Sierocińca. Rozpoczęta w nim we wrześniu nauka została przerwana, a Gimnazjum zamknięte przez władze sowieckie.

Przed wojną pracowało w Skałacie liczne grono nauczycielskie. W obu szkołach powszechnych uczyli: Franciszka Nusbaum-Baum-sowa, Rozalia Gołębiowska, Hawliccy, Eustachy Ilnicki, Irena Krotkiewska, Kazimiera Krzyżanowska, Olga Lechowa, Maria Lorencowa, Izydora Legocka-Kuhnowa (organizatorka tajnego nauczania podczas wojny), Helena i Hipolit Popielowie, Maria Turzańska, Emilia Wyrozumska i in.

Ochronka przy ul. Piłsudskiego prowadzona była przed wojną przez siostry Zgromadzenia Służebniczek Pańskich, a Sierociniec (przy drodze do Nowosiółki Skałackiej) przez siostry ze Zgromadzenia Józefitek. Zakłady te zostały w czasie okupacji sowieckiej zlikwidowane. Po wojnie w budynku Ochronki otworzona aptekę.

Starostwo mieściło się początkowo w jednopiętrowym murowanym budynku, w obniżeniu dawnej fosi pod zamkiem. Znajdował się tam również Sąd i inne urzędy miejskie. Później Starostwo przeniosło się do nowowypbudowanego gmachu przy ul. J. Piłsudskiego. Starostą skałackim do wybuchu wojny był Rutkowski. Także i Zarząd Miejski przeniósł się do nowego budynku przy ul. 3-go Maja róg Horodnickiej. Ostatnim burmistrzem w Skałacie był Stanisław Kuhn. W starym gmachu pozostał Sąd Powiatowy, gdzie rozprawy prowadzili sędziowie Janusz i Zachariasiewicz. Bronił adwokat Melnik (Ukrainiec), a sprawy notarialne prowadził notariusz Niementowski.

Na zapleczu starostwa został wybudowany w latach 30-tych Szpital Powiatowy. Jego dyrektorem był dr Zygmunt Strzałkowski, doskonały chirurg. Szpital w Skałacie miał stare tradycje. Pierwszą założyła w mieście Anna z Lanckorońskich Kalinowska już w roku 1734. Tradycje te utrzymały się do dzisiaj, gdyż w zlikwidowanym po wojnie Starostwie znajdują się dodatkowe oddziały szpitalne.

Z drugiej strony starostwa znajdował się dom "Sokoła" z salą widowiskową i salą kinową. Wieloletnim prezesem "Sokoła" był Władysław Gołębiowski, a w okresie bezpośrednio poprzedzającym wojnę Błaszkiwicz.

W mieście znajdowały się ponadto: Ubezpieczalnia Społeczna zwana "Kasą Chorych" w której pracował dr Frey; Dom Opieki dla Starców popularnie nazywany "Domem Dziadów"; koszary Baonu Piechoty "Skałat" Korpusu Ochrony Pogranicza pod dowództwem ppłk. Stanisława Pietrzyka i kapitanów Lecha i Turzańskiego; komisariat i posterunek Policji Państwowej - komisarzem był Mirek, komendantem Kurzeja, posterunkowymi Stebnicki i Sroka.

Pocztą kierował naczelnik Konstancy Smereczyński, a listy roznosił listonosz Głowiszyn. Był w mieście Bank Polski, apteka mgra Aszkenazego, drukarnia (zamieniona obecnie na internat). Budynek KOP-u został zniszczony 8 sierpnia 1943 r. podczas ataku partyzantów radzieckich na Skałat. Walki trwały całą noc; spalono żandarmerię niemiecką oraz rozbito magazyny wojskowe. Po wojnie Ukraińcy odbudowali budynek, w którym obecnie mieści się szkoła muzyczna, przeniesiona z plebanii rzym.-kat.

Było także kilkanaście sklepów spożywczych i spożywczo-kolonialnych, ze znanym sklepem Józefa Kossowskiego, gdzie dodatkowo znajdowały się pokoje śniadaniowe z wyszynkiem piwa, oraz Izaaka Picka z owocami południowymi; księgarnia Grünfelda; sklep z obuwem firmy "Bata"; masarnie i sklepy mięsne (Grubmana i Murmyły); restauracje (Grubmana i Turka); piekarnia Katzowej; cukiernia i lodziarnia Chilowej i Weinbergowej. Ponadto cały szereg kramów oraz sklepików z branzami dzisiaj nie spotykanymi jak np. towary bławatne (B. Chmury, H. Linczyca i Rozenzweiga), towary mieszane (Goldy Gottesman, Braci Sommersteinów); towary żelazne (Mozesa Horwita) czy handel skór i obuwia (Treimera). Pawilony te zostały wybudowane na rynku w latach 30-tych za czasów działalności burmistrza S. Kuhna. Były jeszcze dwa duże młyny (parowy i wodny), betoniarnia i wiele małych zakładów rzemieślniczych jak zakład fotograficzny Leona Brajera, zegarmistrzowski Boszko czy "Hygieniczny Zakład Fryzjerski" Israela Olica oraz znany w okolicy, aż po Kaczanówkę, warsztat szewski.

Wg danych z 1931 r. ludność Skałatu liczyła 7223 osoby z czego 1/3 stanowili katolicy, 1/3 unicy i 1/3 wyznawcy religii mojżeszowej. Do

polскоości przyznawało się 68% obywateli Skałatu. Obecnie żyje tam około 200 Polaków.

Po II wojnie, po przeniesieniu rejonu (powiatu) do Podwoło- czysk, nastąpił upadek miasta. Zlikwidowano wszystkie prywatne sklepy i zamieniono je na mieszkania. Kościół, bożnica oraz domy i pawilony handlowe w rynku zostały wyburzone. Na powstałym w ten sposób ogromnym placu zbudowano dom towarowy - jedyny do roku 1993 sklep w mieście.

Literatura:

*Anczarski J.* 1996. - Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej. Kraków.

*Barczyk W.* 1996 - Wspomnienia z podróży sentymentalnej. - Głosy Podolan Nr 15. Warszawa.

*Chlebowski B. Walewski W. Sulimirski F.* 1889. - Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Tom X. Warszawa.

*Czołowski A. Janusz B.* - 1926. Przeszłość i zabytki województwa tarnopolskiego. Tarnopol.

*Janota M.* 1992. - Zmartwychwstanie w Skałacie albo historia jednego dzwonu. Credo Nr 7. Warszawa.

*Polak T.* 1997 - Zamki na Kresach. Warszawa.

*Stopa J.* 1995. - Herby miast powiatowych Podola. Zeszyt 1. Warszawa.

Opracowano na podstawie informacji ustnych uzyskanych w czasie spotkań z pp. P.T. Antonim Gołębiowskim, Piotrem Murmyło, Czesławem Neumayerem, Ewą Popiel-Barczykową, Tadeuszem Wisieckim i Wacławem Wyrozumskim za które serdecznie dziękuję.

autor

## **Poświęcenie kościoła w Starym Skałacie w woj. tarnopolskim**

25 września 1997 r. odbyła się uroczystość poświęcenia nowo-wybudowanego kościoła pw. Bł. Jakuba Strzemię.

Jak do tego doszło?

W Starym Skałacie istniał mały kościółek z początków XX wieku. Los tej świątyni, jak wielu innych obiektów sakralnych na tych ziemiach, był podobny. Dużo jednak mieli szczęścia pozostali tam Polacy, ponieważ ich kościółek nie został zniszczony.

Dwa lata temu do parafii Stary Skałat przyjechał ks. Wojciech

BUKOWIEC. Jego inicjatywa, zapał, niezwykajna energia z jednej strony, z drugiej - pełna poświęcenia praca tutejszej społeczności polskiej, doprowadziły do wybudowania pięknej świątyni. Nowy kościół wchłonął stary kościółek tworząc nową całość, i połączył w ten sposób przeszłość z przyszłością.

Na wieść o rozpoczęciu budowy nowego kościoła byli mieszkańcy Starego Skąlatu zorganizowali się, zebrali fundusze i przekazali je gospodarzom. Byli też darczyńcy z zagranicy; jedna osoba z Francji, druga z Niemiec. Na konto bankowe wpłynęło w sumie 5.750,00 zł.

- 5.000,00 zł przekazano ks. proboszczowi, który przeznaczył je na centralne ogrzewanie;

- 1.000,00 zł (750,00 zł z konta + 250,00 zł zebranych przed odjazdem autobusu) przeznaczyliśmy na zakup ornatu, kielicha i pateny.

*Powyższe jest naszym rozliczeniem z Darczyńcami.*

Wiemy, że niektóre osoby wpłacały pieniądze na konto banku w Tarnowie, które założył ksiądz. O sumie zebranych tam pieniędzy nie posiadamy informacji.

\* \* \*

Poświęcenie kościoła odbyło się bardzo uroczyście. Mszę celebrował ks. bp Marcjan Trofimiak w asyście 28 kapłanów pracujących na tamtejszych terenach.

Z sąsiednich parafii przybyło wiele delegacji, była też delegacja miejscowej cerkwi grekokatolickiej ze swoim kapłanem.

Nie brakowało gości z Polski; przybyła 45-osobowa pielgrzymka darczyńców oraz delegacja z rodzinnej miejscowości ( i pierwszej parafii) ks. proboszcza Bukowca.

Mimo, iż uroczystość poświęcenia świątyni odbywała się w dzień powszedni (dzień pracy), przybyło na nią bardzo dużo wiernych ze Starego Skąlatu, z Połupanówki, z Nowosiółki Skąlackiej oraz innych pobliskich miejscowości. Nie mieścili się wszyscy w murach kościoła.

Ksiądz proboszcz wygłosił piękną mowę powitalną a zarazem dziękczynną, a później dwujęzyczne kazanie w duchu miłości bliźniego.

Uroczystość uświetnił piękny śpiew chóru młodych dziewcząt, wykonany profesjonalnie.

Na wszystkich twarzach widoczna była radość i głębokie wzruszenie. Byliśmy szczęśliwi i dumni z ukończenia wspólnego dzieła.

## DRODZY RODACY!

Mimo, że kościół w Starym Skalacie już funkcjonuje, potrzeby jego są wciąż jeszcze ogromne. Dlatego nie likwidujemy konta w banku. Aktualnie znajduje się na nim 50,00 zł (wpłata wpłynęła po 25 września 97 r.).

W przyszłym roku planowana jest konsekracja kościoła. Celowe byłoby więc znów zespolić nasz wysiłek i zebrać kwotę zbliżoną do 5.000,00 zł. Byłoby to piękne dzieło. Prosimy o wyrażenie swego zdania w powyższej sprawie. Gdyby większość zaakceptowała takie rozwiązanie, to do 15 grudnia br. należałoby zamówić rzeźby.

Przypominamy konto, na które można wpłacać ofiary pie- niężne:

BANK SPÓŁDZIELCZY ŁAMBINOWICE  
Nr 19301028 - 88881010 - 160326 - 27006  
z dopiskiem "Na budowę kościoła w Starym Skalacie"

Józef SERAFIN  
Korfantów, tel. (0-77) 319151

Michał SERAFIN  
Łambinowice, tel. (0-77) 11498

*Władysław Kosowski*  
*Szczecin*

## **Służba Polsce nie zawsze jest sprawą prostą...** **Cz. III**

### **"Istriebitielnyje Bataliony" w woj. tarnopolskim.**

Powołane w 1944 roku przez sowiecki "Wojenkomat" (odpowiednik naszego RKU) gdy front rosyjsko-niemiecki dochodził do Bugu, posiadały w naszym województwie pewną specyfikę: składały się głównie z młodocianych Polaków. Ludność polska nazywała nas na codzień "Strzelczykami", "Orlętami", "Jastrzębietami" lub "Istrebkami", między sobą nazywaliśmy siebie "Szarakami" (od "Szarych Szeregów"), a Ukraińcy mówili o nas "Strybki" lub "Laszki".

Były to dzieci polskie, które na ziemi tarnopolskiej jeszcze do 17 września 1939 r. były zuchami i harcerzami, a potem stały się "pionierami", rzadziej "komsomolcami". Ten sowiecki nakaz obejmował przede wszystkim uczniów, którzy mieli obowiązek podpisać w szkole

zobowiązanie przynależności do tych organizacji<sup>2</sup>. Kto odmówił, czekała go wraz z rodzicami zsyłka w głąb ZSRR. Było tak aż do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w czerwcu 1941 r.

Podczas okupacji niemieckiej i drugiej okupacji sowieckiej, tj. w latach 1942-1945, ci młodociani byli łącznikami, gońcami i zwiadowcami w Podziemiu, służąc w szeregach Armii Krajowej, Batalionach Chłopskich, a zdarzało się, że i w partyzanckich oddziałach "Patriotów-Słowian" GL. Służyli tam, gdzie ich ktoś przygarnął, gdzie o nic ich nie pytano, a słyszeli: *Polak jesteś - to walcz o swoją godność i o przetrwanie.*

Od kwietnia 1944 r. - do jesieni 1945 r. młodzi chłopcy (do rocznika 1927 włącznie), stali się żołnierzami "Istriebitielnych Batalionów" a w praktyce i odczuciu miejscowych Polaków - samoobrony polskiej, mimo, że powołał ich do tej służby "Wojenkomat", a NKWD wyraziło cichą zgodę. Wszyscy wiedzieli bowiem, że tylko ono mogło dać zezwolenie na oficjalne posiadanie broni. A to ostatnie było dla nas najważniejsze!

"Wojenkomat" wyznaczał siedzibę batalionu (miejscowość) i budynek zakwaterowania. Nic ponadto! O wszystko musieliśmy starać się sami. Wyznaczono nam Rosjanina na komendanta, a Polaka na jego zastępcę. Komendant dysponował pistoletem i automatem, a Polak dostał niemiecki karabin. Wszystkim natomiast wydano "sprawki" (zaświadczenia), że z tym a tym dniem stali się formalnymi żołnierzami ("bojcami") "Istriebitielnoho Bataliona", w moim przypadku plutonu baworowskiego, i posiadają zezwolenie na broń.... Dalej były kropki, ponieważ broń mieliśmy zdobyć na banderowcach.

Toteż gdy "naczalstwo" odjechało, rzuciliśmy się natychmiast z kolegami do swoich domów i w ciągu dwóch, może trzech godzin, byliśmy w pełni uzbrojeni we własną broń wydobytą ze schowków. Nie muszę dodawać, że komendant i nasz Józek Olejnik byli z tego bardzo radzi, a Rosjanin powiedział: *Nu tiepier wy uże połnyje sołdaty.*

Pluton, w którym służyłem, miał swoją kwaterę we wsi Baworów i stąd jego nazwa: Baworowski pluton "Istrieb. Batal."

Baworów był siedzibą gminy, poczty, szkoły, Domu Ludowego, parafii rzym.-kat., greko-kat. oraz bożnicy. Stał tu także piękny młyn wodno-turbinowy, i dzięki tej turbinie wieś była oświetlana żarówkami elektrycznymi. Po hr. Baworowskim pozostał zameczek i gorzelnia.

Siedzibą baworowskiego plutonu samoobrony (jak należałoby gwoli prawdzie nazwać naszą jednostkę) był piętrowy, ładny Dom Ludowy. Kwaterowaliśmy tu w czterech pokojach na piętrze. Podczas okupacji

<sup>2</sup> Było tak raczej w niektórych wiejskich szkołach z j. wykładowym ukraińskim, np. w Borkach Wielkich lub w Czortkowie w 10-latce z polskim j. nauczania takich "zwyczajów" nie było. Przynależność do wymienionych organizacji była - przynajmniej formalnie - dobrowolna. (przyp. red.).



niemieckiej mieściła się w nich policja ukraińska z niemieckim komendantem.

Po "wyzwoleniu" Tarnopolszczyzny przez Armię Czerwoną na wiosnę 1944 r., a następnie po przesunięciu się frontu nad Wisłę i San, rozpoczęło się u nas prawdziwe piekło, czyli masowa rzeź ludności polskiej przez sfanatyzowanych Ukraińców.

Roczniki 18-latków i starsze (do 1896 r.) zmobilizowali Sowieci pod koniec pierwszego kwartału 1944 r. do tworzonego w ZSRR Wojska Polskiego (jako że front wymagał stałego uzupełniania oddziałów), a we wsiach pozostały bezbronne kobiety z dziećmi i starcami. I właśnie ci nieletni chłopcy z drużyn bojowych (takie istniały, i tak je nazywano) musieli podjąć walkę z ukraińskimi barbarzyńcami tzw. Powstańczej Armii - ludobójczymi Polaków kre- sowych.

Do plutonu baworowskiego wcielono chłopców od 14 do 17 r. ż. Było wśród nas 5 lub 6 mężczyzn około 50-tki, których nie przyjęto do wojska z powodu stanu zdrowia. Ale najmłodszy i najstarszy żołnierz plutonu pozostawali najczęściej w miejscu zakwaterowania. Strzegli go, przygotowywali dla nas broń i amunicję, żywność, czystą bieliznę i byli w pogotowiu na wypadek ataku nieprzyjaciela. Natomiast chłopcy 15-17-letni brali stale, w dzień i w nocy, udział w akcjach bojowych przeciwko ukraińskim ryzynom.

Pluton baworowski liczył około 40 osób. W zaopatrzeniu pomagały nam dziewczęta w naszym wieku, i te nieco starsze, nie zmobilizowane do wojska. Zaopatrywały przede wszystkim w wydobytą ze schowków amunicję, granaty i inne akcesoria wojskowe, których stale nam brakowało. Gdyby nie ta pomoc, nie byłoby dziś nas wśród żywych. Sowieci bowiem niby nam ufali (przecież "sojuźnikom"), ale ani broni, ani amunicji przez długi okres czasu (od maja 1944 do lipca 1945) nie dali nam ani razu. Mieliśmy tylko to, co zdobyliśmy na banderowcach lub co podrzucali nam Polacy ze swoich zapasów i zdobyczy, i tym walczyliśmy.

Ta polska samoobrona powstała w wyniku konieczności już podczas pierwszej okupacji sowieckiej (1939-1941), następnie działała od połowy 1942 r. do 1945 r. tj. do wyjazdu na zachód Polski resztek pozostałych przy życiu Polaków. Musieliśmy przystąpić do tej walki, bo kto nie walczył - ten ginął od banderowskiej siekiery, noża, piły czy sznura.

Samoobrona baworowskiego plutonu "Istrieb. Batal." obejmowała następujące wsie: Baworów, Zastawie, Proszowę Salówkę, Smolanekę, Skomorochy, Kozówkę, Grabowiec, Białoskórkę, Toustoług, Kipiaczkę, Zaściankę oraz przysiółek Rogoźnia, skąd wszystkich mężczyzn-Polaków podległych mobilizacji zabrano do wojska. Zabrakło zatem AKowców, BChowców i partyzantów, słowem ludzi Podziemia. Pozostali jedynie nieletni chłopcy i starzy mężczyźni - i oni podjęli tę nierówną

walkę z UPA.

Sowieci przedstawili Polakom z samoobrony dwie możliwości: albo oddadzą wszelką posiadaną broń, albo zostanie ona zalegalizowana w formacji "Istriebitielnych Batalionów". Takie były wtedy realia. Innych wyborów nie było. Wszyscy Polacy - młodzież i starsi - wybrali drugi wariant, by za cenę legalnego posiadania broni mieć szansę obrony rodziny i własnego życia.

Drużyny szturmowe "Istrieb. Batal." powoływane były w tych wsiach, w których mieszkało trochę Polaków, i podlegały plutonowi gminnemu. Tak przynajmniej było u nas. Tu wyjaśniam, że przed wojną gmina Baworów należała do pow. tarnopolskiego, natomiast podczas pierwszej i drugiej okupacji sowieckiej do rejonu (powiatu) Borki Wielkie.

Podkreślenia wymaga fakt, że Polacy wstępujący ochotniczo do "Istrieb. Batal." nigdy nie byli żołnierzami NKWD i niczego od NKWD nie otrzymywali. Ani umundurowania, ani żołdu a jedynie zezwolenie na posiadanie broni. Ale jak już wyjaśniałem - broń była naszą własnością lub przez nas zdobyta. To wszystko! Odzieży, bielizny i pożywienia dostarczały nam nasze rodziny.

W plutonie baworowskim służyli chłopcy z następujących wiosek: Baworów, Zastawie, Skomorochy, Smolanka i Kozówka. Grabowiec, Białoskórka i Zaścianka miały własne drużyny samoobronne, podlegające naszemu plutonowi.

Gdy mieliśmy wolną chwilę, odwiedzaliśmy - grupowo i uzbrojeni - nasze domy. Był rozkaz, aby nikt nie oddalał się w pojedynkę z plutonu. Gdy to zrobił, nigdy już nie wracał. Był u nas jeden taki przypadek. Znaleźliśmy kolegę pod Sorockiem wrzuconego do studni, a wcześniej porąbanego siekierą. Był 14-letnim sierotą, gdyż jego rodziców banderowcy zamordowali już wcześniej.

Dzisiaj jestem szczęśliwy, a może nawet dumny, że walcząc z tymi wprawnymi mordercami, nie dałem się zabić, nie splamiałem się krwią bezbronnego dziecka ukraińskiego czy ukraińskiej kobiety. Ale zostałem inwalidą, gdyż w czasie tych walk zostałem ranny i kontuzjowany.

Byliśmy bardzo młodymi ludźmi, ale na swój młodzieńczy sposób rycerskimi i dzielnymi żołnierzami, broniącymi ludności polskiej. Walczyliśmy o życie własne, życie naszych bliskich i zupełnie obcych ludzi, a także o godny pochówek ofiar zbrodni.

Tam, na ziemi tarnopolskiej prawie każda miedza zroszona jest kroplami polskiej krwi, krwi bardzo serdecznej, naszych bliskich i naszej własnej.

Jestem jednym z naocznych świadków tych makabrycznych dziejów podczas ostatniej wojny, jakie zgotowali Polakom kresowym sfanatyzowani Ukraińcy. Np. mój serdeczny Kolega J. Kulczycki został przybity gwoździami do wrót stodoły, a następnie podziurawiony na

miazgę nożem lub bagnetem.

Nacjonalistyczne formacje UPA zaprezentowały w połowie XX wieku, niemal w centrum Środkowej Europy, horror na wspomnienie którego włosy mogą posiwieć w ciągu kilku chwil, i czego do końca życia nie da się wymazać z ludzkiej pamięci.

Kto dziś lub jutro będzie głosił inaczej - jest kłamcą, obłudnikiem i fałszerzem faktów historycznych. A fałszowanie i przemilczanie faktów uwłacza godności i pamięci niewinnie pomordowanych i poległych w ich obronie. Uwłacza również godności żyjących obrońców, żołnierzy samoobrony na Kresach południowo-wschodnich, którzy do niedawna musieli także walczyć o prawdę swego działania i dobre imię własne oraz poległych towarzyszy broni.

Walczyłem o sprawę tak, jak uczyli mnie rodzice i nauczyciele w szkole. Cóż jeszcze można dodać do tego? To chyba, że służba dla Ojczyzny nie zawsze jest sprawą prostą...

Dla straconego życia i krwi przelanej, i dla tych potwornych przeżyć na jakie byliśmy narażeni z przyczyny UPA - ceny nie ma! Teraz zaś różni pseudohistorycy, ułomni w swej wiedzy historycznej i zwykłej ludzkiej uczciwości, wypisują bzdury obciążając winą Polaków i wybielając oprawców.

Wstyd i hańba! - jeśli to istotnie piszą Polacy?

**Od redakcji:**

Autor urodził się w 1928 r. w Zastawiu, w pow. tarnopolskim. Już jako 14-letni łącznik-zwiadowca zaangażowany był w walkę z niemieckim okupantem. Od 1944 r. - 16-letni żołnierz baworowskiego plutonu samoobrony bierze czynny udział w walce ze zbrodniczymi ugrupowaniami ukraińskich nacjonalistów.

Ciężkie przeżycia, trudne do udźwignięcia dla dorosłego, zahartowanego mężczyzny, pozostawiły bolesne blizny na wrażliwej psychice młodzieńca. Stąd wszystko o czym pisze, nacechowane jest wysoką emocjonalnością.

W wyniku czynnej walki zostaje inwalidą. Jest kombatantem odznaczonym za lata ofiarnej służby wieloma bojowymi odznaczeniami, wśród których błyszczą tytuły Kawalera Orderu Polonia Restituta i Krzyża Walecznych.

Ponieważ p. Władysław Kosowski zachował wiele skromności odnośnie do własnej osoby, wydawało się słuszne podanie tych kilka biograficznych szczegółów.

*Jadwiga Podleska  
Gliwice*

**Moje wspomnienia  
z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939-1945)  
Cz. III**

W całej Małopolsce Wschodniej policja ukraińska współdziałała z policją niemiecką.

Liegeschafft zatrudniał Żydów do chwili zamknięcia ich w gettach. Nie było, niestety, możliwości wyreklamowania ich. "Szmalcownikami" wydającymi w ręce Niemców ukrywających się Żydów, byli z reguły Ukraińcy. Fakt, że zdarzali się wśród nich także Polacy, nie pozwala na żadne porównania. Tak mi powiedział Żyd, który po zajęciu Tarnopola przez Sowieców w 1944 roku wyszedł z ukrycia: *Wy - Polacy, ratowaliście nas ale Ukraińcy nas wydawali.*

Polacy, a na Podolu wielu polskich wieśniaków, rzeczywiście ukrywało prześladowanych Żydów, często całkowicie bezinteresownie. I tu trzeba z naciskiem podkreślić fakt - na ogół nieznaną Polakom żyjącą na zachód od linii Bug-San i poza granicami Polski: pomimo, iż

w latach okupacji sowieckiej (1939-1941) miejscowi komunisci-Żydzi działali przeciwko Polakom - powodowali ich uwięzienia i deportacje (zajmując kierownicze stanowiska we władzach lokalnych), byli oficerami Czerwonej Armii, w NKWD i służbach więziennych - to gdy Niemcy rozpoczęli tępienie Żydów, a potem dokonywali pogromów i zagłady - Polacy z Małopolski Wschodniej puścili w niepamięć doznane krzywdy i ukrywali Żydów, a jeśli nie mogli tego zrobić, to bodaj dokarmiali ukrywających się.

Znam osobiście przypadek z Czarnielowa Polskiego<sup>3</sup>, gdzie przeżyło dwoje ukrywających się Żydów. Nie wiem gdzie uchował się Mundek, ale Klara dniami i nocami żyła zagrzebana zimą 1944 r. - aż do 8 marca (gdy znowu weszli Sowieci) w stercie słomy na podwórzu jednego z gospodarzy. Późnym wieczorem podchodziła do okien zaprzyjaźnionych ludzi i umówionym pukaniem dawała znać, że jest i prosi o strawę, którą zawsze otrzymywała. Po wojnie prowadziła kiosk z herbatą i gorącymi parówkami na dworcu w Bytomiu, każdą twarz z Czarnielowa witała z entuzjazmem i gorąco podejmowała. Później wyjechała do Izraela.

Nie znam losu podejrzewanych o volkslistę. Przypuszczam, że tę próbę ocalenia wybrał ktoś z czasowych pracowników w biurze administracji w Czarnielowie, ale wkrótce wyjechał do innych regionów i ślad po nim zaginął. Wyglądał na Semitę. My zaś usiłowaliśmy ostrzec innego młodego człowieka podejrzanego o semickie pochodzenie (który opuścił administrację), ponieważ wizytujący gospodarstwo Niemiec-żydożerca odgrażał się: *ten typ pachnie mi Semitą i ja go jeszcze dostanę!* Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy sprytnie zredagowany i wysłany z innej poczty list doszedł do zagrożonego, i czy zdążył na czas.

Latem 1943 r. pojawiali się już na Wołyniu sowieccy partyzanci. Pewnej letniej nocy przeszedł przez Czarnielów duży oddział partyzancki gen. Kowpaka, zdążający ku większym lasom. Zatrzymali się w majątku Romanówka (4 km od nas), obudzili rządcę (p. Adama Glogiera) i zadowolili się rabunkiem żywności. Noc była krótka, spieszyli się, więc nie obyło się bez ekscesów. Następną noc p. Glogier przeniósł się jednak z córką i praktykantem do Czarnielowa Maz. - wsi dużej, czysto polskiej, z zorganizowaną i uzbrojoną samoobroną. Zaraz po żniwach wynajął mieszkanie w Tarnopolu, umieścił tam córkę, a sam gospodarował z dojazdu.

Dalszych odwiedzin nie było, natomiast wśród pracowników administracji pojawiło się paru niby - "białych" Rosjan. Trudno powiedzieć, którzy byli proniemieccy (jak Własowcy czy żołnierze Kamińskiego), a którzy pracowali w wywiadzie sowieckim. Admi-

<sup>3</sup> Czarnielów Mazowiecki był w naszych stronach nazywany często Polskim, by odróżnić go od położonego obok Czarnielowa Ruskiego. (przyp. J. Stopa).

nistrator inż. Grzegorz Zerygiewicz przeniósł się pod zimę 1943/1944 do pracy w Krakowie, gdzie miał rodzinę, a na jego miejsce przyszedł Ukrainiec inż. Sawyćkij, bardzo proniemiecki. Przeważnie mieszkał w Tarnopolu, zachowywał się przyzwoicie i wkrótce opuścił z Niemcami miasto. (Chyba "zwiął" na Zachód).

W lutym 1943 r. dwór w Czernielowie zajęło na kwaterę cofające się z Rosji wojsko niemieckie. Kancelarię przeniesiono do rządówki, a ja wyprowadziłam się na wieś, w bezpośrednie sąsiedztwo mieszkania Matki. Wieś nasza była zorganizowana, na dobrym poziomie umysłowym i bardzo patriotyczna. Takich wieśniaków jak ci z mego pokolenia, spotkać można było tylko w partyzantce AK na północno-wschodnich Kresach lub w Kieleckiem u "Ponurego". Udało się więc dostarczyć zboże na chleb dla oddziałów leśnych AK na północ od Lwowa i w lasach stanisławowskich.

Akcja "Burza" rozwinęła się pod Tarnopolem na małą skalę. Zdobyto trochę broni na Niemcach, a cały wysiłek skierowany został na Lwów<sup>4</sup>.

W pierwszych dniach marca 1944 r. Armia Czerwona zajęła Zbaraż. Opuszczony przez Niemców Czernielów Mazowiecki znowu był zagrożony przez nacjonalistów ukraińskich. W nocy z 8/9 marca znów zamierzali "rozprawić się z tym polskim gniazdem" i zaczęli gromadzić się w domach tych pięciu ukraińskich rodzin w naszej wsi. Na szczęście właśnie tej nocy wkroczyła jednostka sowiecka. Co prawda zajęła się zaraz gorzelnią, w której pozostały kadzie pełne spirytusu, ale to z kolei uchroniło mieszkańców, zwłaszcza kobiety, od większych ekscesów. Pierwszą linię frontu sowieckiego stanowili bowiem w większości przestępcy, wypuszczani przez Stalina z więzień na "mięso armatnie" za obietnicę zwolnienia, jeśli ktoś z nich przeżyje.

Wkrótce rozpoczęło się, trwające z górą pięć tygodni, oblężenie Tarnopola.

9 marca kwaterował w Czernielowie gen. Rybałko, a po nim gen. Żukow. Mnie udało się zatrudnić w miejscowej gorzelni, a zaświadczenie o pracy uchroniło mnie przed kopaniem rowów i wysłaniem do armii gen. Berlinga w ZSRR. Inną dziewczynę zwolniło z wojska zaświadczenie lekarskie dr Karaczko, a znajomy gospodarz "wykupił się" ofiarując komu trzeba pięknego konia.

Niektórych młodych ludzi nie wysłano do armii lecz wcielono do batalionów strzeleckich<sup>5</sup>, których zadaniem była ochrona majątku (znowu państwowego!) i załogi przed ewentualnym atakiem UPA.

Proniemieccy szpiegowie ukraińscy działali aż do upadku Tarnopola. Na wieży kościoła czernielowieckiego ukrył się szpieg z radiem i

<sup>4</sup> Więcej na ten temat w pracy mgra Adama Jawora o AK i Delegaturze Rządu RP w Tarnopolu. (J. P.).

<sup>5</sup> Zapewne do "Istriebitielnych Batalionów". (przyp. red.).

meldował Niemcom, że w pobliżu znajduje się sowiecki sztab i artyleria. Po nieudanym nalocie szpiega wykryto i aresztowano.

Zagrożeni przez nacjonalistów ukraińskich kapelani AK, ks. Mościński z Borek Wielkich i ks. Kij z Czernielowa uzyskali zgodę dziekana i udali się jako kapelani wojskowi do naszych zmobilizowanych chłopców. Przeżyli wojnę i jeszcze przez szereg lat pracowali na Dolnym Śląsku.

Relacje z oblężenia Tarnopola posiadam od mojego ojca, przetrwał ze znajomymi w piwnicy domu w którym mieszkał, mając do dyspozycji kuchenkę i zapasy żywności. Nikt ich jakoś stamtąd nie wygonił, chociaż inne części miasta podlegały ewakuacji. Po powrocie ludzie zastawali gruzy lub całkowicie obrabowane mieszkania. Mieszkanie ojca ocalało.

Po pewnym czasie dano mi znać, że lepiej będzie abym z Czernielowa "zniknęła" i przeniosła się do Tarnopola. Tam znalazłam pracę i dach nad głową w domu krewnych-lekarzy. (Moi koledzy z pracy w Czernielowie, z AK i ziemianie zdołali wyjechać do Lwowa, i dalej na zachód, jeszcze przed 8 marca 1944 r.). W Tarnopolu podjęłam pracę w Urzędzie Miar i Wag, jako że praca była za Sowietów obowiązkiem. Księgowość sowiecka okazała się dla mnie "nie do ugryzienia", i od stycznia 1945 r. zastąpiła mnie Rosjanka. Ja zaś dzięki trzem zacnym lekarzom<sup>6</sup> mogłam pozostać w domu kuzynów jako chora na serce. Rewanżowałam się im pomocą w gospodarstwie domowym.

Po wsiach Tarnopolszczyzny nadal krwawo szalała UPA, przyspieszając wyjazd elementu polskiego i depolonizację Kresów.

Dla zapoznania się z działalnością UPA na Ziemi Tarnopolskiej po wkroczeniu Sowietów i bezpośrednio przed tym, jak też o niechlubnej roli części duchowieństwa greko-katolickiego - polecam lekturę książeczek dra Aleksandra Kormana. Od siebie dodam jeden szczegół: chyba pod koniec lutego 1944 r. upowcy naznaczyli w Tarnopolu domy zamieszkałe przez Polaków kawałeczkami gałązek świerkowych Dowiedział się o tym dr Karaczko - Ukrainiec i dyskretnie Polaków uprzedził. Domy zostały ze "znaków" oczyszczone i napad nie doszedł do skutku. Upowcy chętnie dokonywali rzezi przed wkroczeniem Armii Czerwonej, ponieważ później można je było przypisać Sowietom, co też nacjonalistyczna ukraińska propaganda czyniła.

---

<sup>6</sup> Byli to dwaj ocaleni przez Polaków lekarze-Żydzi oraz dr Swistun. Ten ostatni wywodził się z rodziny Ukraińców kijowskich, przybyłych do Polski po rewolucji 1917 roku i zawsze lojalnych wobec kraju, który wybrali na miejsce stałego osiedlenia. Dr Swistun mógł, jako mąż Polki, wyjechać z Tarnopola w ramach wysiedlenia, wolał jednak pozostać w domu rodzicielskim, gdzie zmarł w 1957 roku. Wdowa po nim nie zdecydowała się również na przenosiny i zmarła w Tarnopolu. Dr Swistun pomagał Polakom. Za samo podejrzenie, że wystawiał dziewczętom zaświadczenia o niezdolności do pracy, został wezwany do Arbeitsamtu i ciężko przez Niemców pobity. (J. P.).

Oprócz oddziału AK, który przeszedł do Lwowa, pozostało jeszcze w Tarnopolu trochę AKowców, zwłaszcza spoza jednostek bojowych, ale w "zupełnej ciszy". Parę osób przeniesiono do pracy w Delegaturze Rządu - "Kasztelanii" (woj. Tarnopol), "Prowincji" Ziemia Czerwieńska, z siedzibą we Lwowie. Konspiracyjne województwa: Lwów, Tarnopol i Stanisławów czynne były do lata 1945 r. I trzeba było jeszcze od czasu do czasu dojechać do Lwowa po gaże i prasę. A jak pisał Marek Celt (Tadeusz Chciuk) w "Białych Kurierach" - konspiracja pod okupacją sowiecką była o wiele trudniejsza i bardziej niebezpieczna niż pod okupacją niemiecką. Potwierdza to w swych publikacjach także prof. Jerzy Węgierski, który przeżył obie, a ta druga, sowiecka "zafundowała" mu 10 lat pobytu w Azji.

Aresztowanie "Kasztelana" z końcem lipca przyspieszyło wyjazd mój, ojca i paru innych pracowników "Kasztelanii" na zachód. Karty Ewakuacyjne (a nie repatriacyjne!) - nazwa sowiecka bliższa była prawdy, niż stosowana w PRL, a i teraz uparcie powtarzamy błędny termin "repatriacja" - mieliśmy załatwione, pozostały jeszcze jakieś drobne formalności. "Kasztelan" - prof. Piotr Raczyński został wkrótce zwolniony, (areszt dotyczył jakiejś pomyłki), i z radością zobaczyliśmy go na peronie tarnopolskiego dworca odjeżdżającego tym samym pociągiem.

Gorzej było we Lwowie. Aresztowany szef "Prowincji" wywieziony został do ZSRR na 8 lat. (Później powrócił i mieszkał z rodziną na Dolnym Śląsku).

W transporcie, którym jechałam z ojcem i przyjaciółmi, udało się przemycić 20 zagrożonych AKowców. Konwojent był także AKowcem. Przed wyjazdem były jednak emocje. Przede wszystkim nie było wiadomo, jak długo będziemy czekali na podstawienie wagonów. Trzeba było więc zrobić coś w rodzaju namiotu chroniącego przed deszczem, i we dwie osoby dyżurować dzień i noc. Potem należało zadbać o jakieś zadaszenie w odkrytym wagonie towarowym. Pomógł nam w tym kolejarz, p. Wiśniewski (zasługi kolejarzy polskich podczas II wojny światowej są na ogół znane).

Kiedy dyżurowałam w nocy z prof. Władysławem Opalą, jakiś sowiecki wojak gorliwie poszukiwał "profesora Pali". W każdym z "namiotów" wypytywał czy jest tu taki? Takiego oczywiście nie było, ale prof. Opala nie pokazał się już na dworcu do chwili wsiadania do wagonów.

Nasz transport miał wielkie szczęście, ponieważ na wagony czekaliśmy tylko kilka dni i nocy, i udało się w wagonie zrobić daszek, (w drodze trochę padało). Załadowaliśmy się przed południem, ruszyliśmy w nocy, i jechaliśmy dwie doby z krótkimi postojami. Wyszadzono nas w Bytomiu. W pobliskich Brzezinach Śląskich oczekiwała nas moja siostra



z rodziną.

W znacznie gorszych warunkach szedł transport z Czernielowa, którym we wrześniu 1945 r. dotarła do Brzezin moja Matka, ze Staruszką i przybraną siostrą - sierotą z Czernielowa. Najpierw czekały tydzień na stacji w Borkach Wielkich na podstawienie wagonów, gotując strawę na ognisku.

Ponieważ nacjonaliści ukraińscy napadali, rabowali i mordowali koczujące grupy wysiedlanych Polaków, więc starsi i nieletni mężczyźni musieli nocą stać na straży z jaką taką bronią. Potem nie udało się zrobić zadaszania nad wagonem, a jechali cały tydzień. Gospodarze wieźli ze sobą oprócz żywności, zboża i sprzętów, także po jednej sztuce inwentarza żywego, któremu musieli zapewnić paszę i wodę. W Bytomiu zostało ich niewielu. Pozostali wożeni byli przez dwa tygodnie po Ziemiach Odzyskanych, aż wreszcie osiedli na Ziemi Lubuskiej.

Rodzice moi pozostali w Brzezinach Śląskich, gdzie w kopalni rudy "Orzeł Biały" pracował mój szwagier, inż. Stanisław Żeromski. Siostra znalazła pracę w pobliskim Bytomiu. Bardzo już schorowany ojciec pisał pamiętnik, niestety choroba nie pozwoliła mu go dokończyć. Przekazany został do Ossolineum we Wrocławiu, jak i inne rodzinne papiery. Odbił też parę podróży, m. in. do swoich byłych pracowników-przyjaciół na Ziemi Lubuskiej. Podobnie Matka, poza tym pomagała w gospodarstwie domowym dzieci, u których mieszkała.

Z pięciu córek moich rodziców - Leona i Anny Podleskich - najstarsza zginęła w Kazachstanie, pozostałe mieszkały po wojnie w Polsce. Nikt z moich bliskich już nie żyje. Ja byłam piątą, najmłodszą córką.

Po wojnie mieszkałam przez trzy lata w Kłodzku, gdzie przyjaźniłam się z rodziną Żydów o wielkiej kulturze, ocalonych przez Polaków w pow. zbaraskim. Dr med. Ludwik Landau mieszkał przed wojną w Zbarażu<sup>7</sup>, a rodzina jego, i zmarłej żony pochodziła z Wiednia i Budapesztu. Był ojcem znanej dziś, piszącej po polsku, pisarki żydowskiej o znacznym rozgłosie - Idy Fink<sup>8</sup>. Zięć doktora, inż. Bronisław Fink posiadał tę samą europejską kulturę. Około 1952 roku wszyscy wyjechali do Izraela. To byli bardzo uczynni i bardzo dobrzy ludzie.

<sup>7</sup> Do relacji p. E. Jaworskiego zatytułowanej "W Kretowcach pomagaliśmy Żydom", zamieszczonej w nr 16/96 "Głosów", redakcja zamieściła następujący przypis: "W uzupełnieniu powyższych wydarzeń, p. A. Semeńczuk podał, że w Kretowcach przechowywał się do końca wojny dr Landau, lekarz gimnazjalny ze Zbaraża. Ukrywał go u swej matki (względnie teściowej), w małej chatynce na uboczu, niejaki Mróz, który był podczas okupacji sołtysem. Dwie córki doktora wyjechały ze Zbaraża w zamian za dwie polskie dziewczyny na roboty przymusowe do Rzeszy i także wojnę przeżyły. Dr Landau mieszkał po wojnie w Kłodzku. Później wyjechał do Izraela."

<sup>8</sup> Zachęcam do przeczytania książki jej autorstwa pt. "Podróż". (przyp. J.P.)

*Ks. Kazimierz Orkusz  
Gdańsk  
(wybór i red. I. Kotowicz)*

## **Jak wysiedlano nas z Kresów i pierwsze spotkania z nową rzeczywistością**

Gdy w latach 1915-1917 przesiedlono moją rodzinę do Rosji nad Wołgę, przebywałem tam wśród rozśpiewanych ludzi. Gdy tylko zebrali się ich kilkoro, zaraz zaczęli śpiewać. Lubili śpiewać i mieli harmonijne głosy. Przy tej okazji nauczyłem się kilku piosenek, a niektóre pamiętam do dziś. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że w przyszłości uratuje mnie to od wielu kłopotów (o czym dalej).

Wracam teraz do wydarzeń w mojej ostatniej parafii w Małopolsce Wschodniej - Wołczuchy, (położonej na linii Gródek Jagielloński - Sądowa Wisznia), w jakich uczestniczyliśmy tam w 1945 roku. W tym bowiem czasie wiosną, władze sowieckie rozpoczęły akcję przesiedlania Polaków. Okupowali całą Polskę, i rządzą się jak chcieli.

Akcja miała polegać na tym, że Polacy z terenów na wschód od Sanu mieli zostać przesiedleni za San, na miejsce zamieszkałych tam Ukraińców, ci zaś mieli zająć nasze miejsce na wschód od Sanu. Tak było w teorii. W rzeczywistości sowieci wyrzucili po prostu Polaków aż pod Odrę, a na ich miejsce sprowadzili nie tyle Ukraińców z Zasania, ile przede wszystkim "swoich" z ZSRR. Z rozmysłem chyba pozostawili wielu Ukraińców "po polskiej stronie", aby w przyszłości - gdy nadarzy się okazja - móc zgłaszać pretensje do terenów zamieszkałych "przez bratni naród".

Moi parafianie nie chcieli się przesiedlać. Byli rolnikami, bardzo przywiązanymi do stron rodzinnych. Kochali swoje pola, sady i ogrody dziedziczone po ojcach od niepamiętnych czasów. Nie mogli pogodzić się z myślą, że mają to wszystko zostawić i jechać w nieznaną.

Bolszewicy inaczej pojmowali to zagadnienie. W ich mentalności nie mieściły się takie abstrakcje, jak "miłość do ziemi" czy "przywiązanie do rodzinnych stron". Uważali, że zniechęca czy wstrzymuje ludzi od wyjazdu czyjś wpływ lub nakaz pozostania na miejscu. A ponieważ "w Polsce rozkazują ludziom księża", więc to oni zapewne namawiają parafian do oporu. I w związku z takim właśnie widzeniem sprawy, wzywano mnie trzykrotnie do NKWD i żądano, abym skłonił ludzi do wyjazdu. Raz tłumaczyłem, że bez zezwolenia biskupa nie możemy opuścić parafii, drugi raz - że to ode mnie nie zależy, nie mam do tego prawa, za trzecim razem to oni mi powiedzieli: - "Nu, jak nie chcecie

prędko wyjechać na zachód, to wyjedziecie prędko na wschód”.

Pogróżka była już wyraźna. Zmuszono nas tym samym do sprowadzenia komisji przesiedleńczej, która miała obowiązek oszacowania tego co zostawiamy i wydania odpowiednich dokumentów na przejazd do Polski.

Jednym z członków komisji był starszy wiekiem pułkownik sowiecki. Pewnego razu przyszedł na plebanię po jakąś informację. Zwróciło moją uwagę, że jego powierzchowność odróżniała się znacznie od powierzchowności pozostałych członków komisji. Sposób bycia, wystawiania się, stosunek do nas świadczyły, że był człowiekiem kulturalnym i pochodził z inteligentnej rodziny. Gdy inni mówili językiem małoruskim (zwanym u nich “chachłackim”), pułkownik władał czystym językiem rosyjskim. Zaciekawiony, zapytałem skąd pochodzi? Odpowiedział, że z Niżnego Nowogrodu. - “Czy to nad Wołgą?” - zapytałem ponownie. Potwierdził. Zacząłem mu wyjaśniać, że podczas I wojny światowej znalazłem się w tamtych właśnie stronach. Pułkownik przyjął tę informację obojętnie; odniosłem wrażenie, że mi nie uwierzył. Wtedy zapytałem, czy w jego rodzinnych okolicach nadal śpiewa się piosenki, których się tam nauczyłem. “Ech, za czem eta nocz była taka charosza?” lub “Kak wieczer wieczerniej, padrużki spat’ lahli”... Pułkownik bardzo się ożywił i przyznał, że nadal się je śpiewa i nucił melodię wraz ze mną. Powiedziałem mu także, że chodziłem nad Wołgą do rosyjskiej szkoły i pamiętam kilka rosyjskich wierszy. Np. “Uznawał ja niższewo kak tień, bywało z utra cełyj dzień...” Pułkownik uśmiechnął się i zaczął recytować Puszkina.

I stała się dziwna rzecz! Piosenki jakby przeobraziły tego człowieka. Wyraźnie zmienił się jego stosunek do mnie; czułem, że zaczął mnie traktować jak kogoś bliskiego. Z obojętnego urzędnika stał się kimś życzliwym i przyjaznym, mało, zaczął mi pomagać w różnych, trudnych dla mnie sytuacjach.

A pomoc ta bardzo prędko okazała się potrzebna. Komisja przesiedleńcza urzędowała w domu Jana Chmielowskiego, oddalonym około 100 m od drogi. Kiedy tam byłem, poproszono mnie o ogłoszenie mieszkańcom jakiejś informacji. (Już nie pamiętam czego tyczyła). Ludzie stali grupkami przy drodze, więc zawołałem aby się zbliżyli, co uczynili biegnąc. Widok tej biegnącej ku nam gromady tak przestraszył członków “prześwietnej” komisji, że wyjęli natychmiast pistolety szykując się do obrony. Ubawili nas sowieci ogromnie tą sceną, ale jak powtórzył mi później pułkownik telefonowali zaraz do swoich przełożonych z informacją, że ksiądz jest człowiekiem niebezpiecznym dla władzy radzieckiej, posiada wielki wpływ na ludzi, którzy słuchają go bardziej niż urzędników państwowych.

Po tym - śmiesznym dla nas - incydencie pułkownik zjawił się u mnie

i przestrzegł, aby podobnych scen więcej nie było, gdyż może się to źle dla mnie skończyć.

Wkrótce wydarzyło się coś nowego. Sąsiednia wieś - Rodatycze - wyjechała już na zachód, a resztki mieszkańców (kilkanaście rodzin) zapełniła teraz tylko połowę składu podstawionego dla nich pociągu. Władze postanowiły zapełnić wagony ludźmi z Wołczuch. Ale moi parafianie oświadczyli kategorycznie, że nie myślą rozłączać się z resztą swojej wsi. I albo wyjadą wszyscy razem wraz z proboszczem, albo nikt się z miejsca nie ruszy. Nie wiedzieliśmy, że tego rodzaju sprzeciw uznany zostanie przez władze za sabotaż, czyli za przestępstwo zasługujące na najwyższy wymiar kary. Informacja o tej "kontrrewolucji" znów powędrowała po drutach do władz wyższych, a stamtąd przyszło poufne polecenie aresztowania księdza jeśli odjadą puste wagony.

"Mój" pułkownik znowu ostrzegł mnie o grożącym niebezpieczeństwie, miałem więc czas aby zapobiec złemu. Do wyjazdu chętnie zgłosiła się sąsiednia wioska - Bar - ponieważ położona była w lesie i Polacy obawiali się napadu banderowców. Załadowaliśmy więc ludzi z Baru do wolnych wagonów, i wyszliśmy cało z opresji.

Tymczasem sytuacja wołczuskich Ukraińców zmieniła się dla nich bardzo na niekorzyść. Bolszewicy zaczęli wyluskiwać niemieckich kolaborantów, wywieziono na Sybir sołtysa i wielu innych nacjonalistów, m. in. Michała Reka, o którym pisałem poprzednio. Odwoził mnie na stację jego rodzony brat Wasyl, człowiek spokojny i uczciwy. Płakał, kiedy nas żegnał i mówił: - "Wy jedzcie do swego kraju, a my tu zostajemy, i nie wiemy co nas tu czeka". Mówił też, że z Polakami lepiej im się żyło niż z Ukraińcami sprowadzonymi teraz zza Sanu, którzy są złymi ludźmi; dochodzi z nimi do kłótni, awantur, a nawet bójek.

Na konwojenta transportu do granicy zgłosił się ze strony sowieckiej "mój" pułkownik. Dzięki jego doświadczeniu i życzliwości przejechaliśmy granicę szczęśliwie, bo to także nie była sprawa prosta. Sowietci nie zezwalali na przewożenie mebli, maszyn, motocykli; bydło było poddawane oględzinom i prawie zawsze orzekano, że jest chore na pryszczycę i nie może być przewiezione. Był to oczywiście zalegalizowany rabunek. (W ten właśnie sposób stracili całe swoje bydło mieszkańcy Rodatycz). Pułkownik dał mi niezawodną receptę na spokojny (i bez strat) przejazd przez granicę. Była nią określona ilość rubli i samogonu. Zdołaliśmy je zgromadzić na czas, i nikt nam nie przeglądał bagaży, ani nie badał bydła. Przewieźliśmy wszystko, co chcieliśmy przewieźć.

Przy pożegnaniu na granicy pułkownik płakał. Często go wspominałem. Należał do ludzi "starej daty", był dobry i uczciwy.

Po przekroczeniu granicy mieliśmy nadzieję, że wreszcie swobodnie odetchniemy. Byliśmy przecież u siebie. Ale kolejarze ostrzegli nas, że

musimy czuwać, ponieważ w okolicach Przemyśla grasują banderowcy i mordują Polaków. Potwierdzeniem tego były spalone wioski, które widzieliśmy po drodze. Swobodnie poczuliśmy się dopiero za Rzeszowem.

Dotychczas jechaliśmy koleją szerokotorową, "ruską". Teraz była przesiadka na kolej "normalną". Ogłoszono nam, że mamy na nią dwie godziny czasu, a jeśli ktoś nie zdąży, to zostanie z bagażem na stacji. Znowu jakieś typy coś kombinowały. W Rodatyczach ładowaliśmy się do pociągu dwa dni, a tu nam dają na wszystko dwie godziny. Przenosiny utrudniał fakt, że w transporcie była przewaga kobiet i dzieci oraz starsi wiekiem ludzie, ponieważ mężczyźni byli na wojnie. Były więc narzekania i wielki lament. Na domiar złego dostaliśmy zamiast krytych wagonów - węglarki. Podróżowaliśmy w nich z miejsca na miejsce jeszcze przez dwa tygodnie, a deszcz zimnymi strugami ochładzał co jakiś czas nasze rozklekotane nerwy. Socjalistyczna ojczyzna traktowała nas jak śmiecie i woziła jak śmiecie. Wszystko nam przemokło, wiele rzeczy uległo zniszczeniu.

Zajechaliśmy wreszcie na Śląsk poniemiecki, w okolice Bytomia. Domy i mieszkania były opuszczone, a mienie pozbawione właściciela. Niemcy zostali może wysiedleni przez swoich, a może w popłochu uciekli. Nasi ludzie prędko to zweryfikowali i zaczęli "szabrować". Brzydko to wyglądało, ale taka była rzeczywistość. Zresztą, czego nie wzięli nasi, zabrali sowieci, ponieważ wszystko traktowali jako wojenne trofeum. Moi parafianie obwiesili wagony taką ilością różnych gratów, że w końcu pociąg wyglądał jak jeź, który na każdym kolcu ma wbite jabłko.

Dotarliśmy do Kędzierzyna, ale władze chciały wysłać nas dalej na zachód. Ludzie jednak nie chcieli jechać za Odrę. Jedni uważali, że za Odrą nie będzie Polski, drudzy - że sytuacja jest przejściowa i niedługo powrócą na swoje. W Kędzierzynie staliśmy na stacji jeszcze tydzień. W dzień było jako tako, ale w nocy nie można było usnąć. Żołnierze sowieccy robili straszny hałas: rozmontowywali fabryki, semafony kolejowe, zapasowe tory i wszystko inne co dało się rozebrać i wywieźć do siebie. Czego nie mogli rozebrać, niszczyli. Już wtedy zrozumieliśmy, jak będzie wyglądać "przyjaźń polsko-so-wiecka". Przez tydzień trwały nasze targi z władzami, aż wreszcie przetoczono nas tylko na drugi brzeg Odry, do Koźła. Na stacji kozielskiej "mieszkaliśmy" jeszcze kilka dni. Posiłki gotowali ludzie w kotłach zawieszonych nad ogniskami, których długi szereg ciągnął się wzdłuż peronu.

Pewnego dnia posilałem się z jakiegoś saganu, zajadając ziemniaki okraszone skwarkami i popijając zsiadłe mleko, gdy dojrzałem w siedzącym na parkanie człowieku jakąś znajomą twarz. Był to woźny z VIII Gimnazjum we Lwowie, który przyjechał przed nami i już pracował; był tercjanem w gimnazjum kozielskim. Zapytałem go, czy nie potrzebują

w tym gimnazjum księdza? Odpowiedział z całą powagą: - "Rozpatrzmy to z panem dyrektorem". - Rozpatrzyli i zdecydowali po mojej myśli.

Następnego dnia zgłosiłem się w szkole. Dyrektor uskarżał się, że Kuratorium nalega na rozpoczęcie nauki, a on nie ma uczniów. Ślązaków Niemcy wysiedlili i jeszcze nie wrócili do domów, a wysiedleni ze wschodu Polacy jeszcze nie napłynęli. Poprosiłem o papier, ołówek i wróciłem na stację. Obszedłem wszystkie nasze wagony i spisałem młodzież nadającą się do gimnazjum. Rano nakazałem młodzieży zabrać stołeczki, ponieważ w szkole nie było mebli (mieścił się tam w czasie wojny szpital wojskowy) i przypro- wadziłem dyrektorowi ten zastęp. Kuratorium mianowało mnie zastępcą dyrektora, przydzielono mi czteropokojowe, umeblowane mieszkanie i zaczęła się normalna praca. Moi parafianie rozmieścili się w domach Ślązaków w Więszycach (przedmieście Koźła) i w sąsiednich wioskach.

Pracy było sporo. Prócz nauki w gimnazjum, zorganizowaliśmy wieczorowe kursy dla dorosłych: urzędników, oficerów, milicji, a nawet ubeków. Prawie całe miasto uczyło się, ponieważ niemal wszyscy znaleźli się w urzędach z "awansu społecznego".

Gdy do Koźła przybył polski garnizon, odbyła się uroczystość pożegnania żołnierzy radzieckich i powitanie polskich. Byłem i ja na nią zaproszony. Przy okazji chciałem się dowiedzieć, czy dowódca naszej jednostki jest Polakiem. Zapytałem o to kapitana, który miał rysy typowego Semity. Zapytany wytrzeszczył na mnie swoje cebulaste oczy i wrzasnął: - "Co? On Polak? To jest "ruski Polak". Ja jestem Polak sprawiedliwy, nazywam się Stern i pochodzę ze Lwowa!" - Roześmiałem się w duchu, ponieważ jego nos najlepiej świadczył o narodowości.

W pierwszych dniach pobytu w Koźlu pracowało się bardzo przyjemnie. Rzeczywistość była jeszcze prawdziwie polska, ludzie religijni. Młodzież w szkole przedwojenna, nastrojona patriotycznie w dobrym znaczeniu. W niedzielę - jak przed wojną - uczęszczała do kościoła w zwartym szyku a sam dyrektor sprawdzał obecność na egzorcie.

Dyrektor ówczesnego gimnazjum w Koźlu - dr filozofii Wojciech Czerwiński - był człowiekiem niezwykłym. Żarliwy Polak, katolik, wysoko wykształcony (trzy doktoraty) - zupełnie nie pasował do nadchodzącej rzeczywistości. Był do tego zagorzałym jej wrogiem, więc musiał z tego stanowiska odejść. Przygotowania do jego usunięcia były dla nas wszystkich, pracujących w szkole, bardzo nieprzyjemne. Zaczęły się naloty ubeków na gimnazjum. Co pewien czas zastawaliśmy rano szkołę zasypaną ulotkami antykomu- nistycznymi, potem następowały rewizje, przesłuchania i komedia śledztwa. Na odmianę znajdowaliśmy w piwnicach i różnych zakamarkach broń, granaty, amunicję, a potem były szykany. Dziwiliśmy się, że chce się ubekom to wszystko najpierw

podrzucać a potem zbierać. Kilka razy dyr. Czerwińskiego aresztowano; zdarzało się to zwłaszcza przed głosowaniem czy wyborami oraz w związku ze sprawą Mikołajczyka. Dyrektor pod koniec 1948 roku został usunięty z pracy w Koźlu.

Jego następcą - mgr filologii klasycznej Władysław Salomon - był zupełnie innego pokroju. Był to homo novus, komunista, wysługiwał się i płaszczył przed władzami dla kariery. Był nie lubiany i przez nauczycieli, i przez uczniów. Ja pracowałem w tej szkole jeszcze jeden rok. (Z ramienia Rady Pedagogicznej byłem nawet opiekunem męskiej drużyny harcerskiej). W 1949 r., po zlikwidowaniu lekcji religii w szkołach - wyjechałem z Koźła na Wybrzeże.

Chciałbym wspomnieć jeszcze o dwu wydarzeniach w tym mieście w owym czasie.

Otóż wywiezieni przez Niemców (gdy zbliżał się front) Ślązacy zaczęli powracać do swoich domów. Wydawano im tymczasowe poświadczenia obywatelstwa polskiego. Pewnego dnia władze Koźła wezwały wszystkich do weryfikacji owych zaświadczeń i zamknęły ludzi w wielkiej hali sportowej. Trzymano ich tam do wieczora. W tym czasie "władza" - od starosty do ostatniego posługiwacza - kontrolowała przez cały dzień nie zaświadczenia, lecz mieszkania Ślązaków. Gdy ci biedacy, wrócili wieczorem do domów, zastali puste ściany. Tak wyglądała repolonizacja Ślązaków w Koźlu. Wielu z nich orzekło wtedy, że nie chcą takiej Polski która ich okrada, i wyjechali na zachód, do Niemiec.

Siedziba milicji kozielskiej mieściła się w ładnej willi nad Odrą. Gdy willę tę remontowano, odkryto w ogrodzie (przy kopaniu dołu na wapno), masowy grób. Pogrzebani w nim byli zamożni Ślązacy, których obrabowano a później zamordowano. Sprawa szybko ucichła, ponieważ chodziło o milicję. Ta ponura historia jeszcze bardziej zniechęciła Ślązaków do socjalistycznej Polski i znów wielu wyjechało do Niemiec.

*Irena Kotowicz*  
*Warszawa*

## **Polskie losy**

### **Cz. II**

Powróćmy raz jeszcze do roku 1942, tj. zasadniczego wątku sprawy. Około 20 maja transport więźniów "samborskich" został wysłany z Drohobycza do więzienia gestapo w Czortkowie. Równocześnie z mężem p. Heleny aresztowani zostali: nadleśniczy inż. Witold Grochowski, adiunkt inż. Bolesław Szarek oraz duża grupa robotników

leśnych ze wsi Kornalowice k/Sambora, m. in. bracia Wendyczowie.

Do więzienia w Czortkowie przyjeżdżała p. Kłosowska z Sambora. Dzięki ofiarności strażników więziennych-Polaków, miała możliwość kontaktowania się z mężem, i tą drogą podawała mu żywność, wymieniała listy.

Około 24 sierpnia 1942 r. żona nadleśniczego Grochowskiego otrzymała z gestapo czortkowskiego zawiadomienie o śmierci swego męża "z powodu ataku serca". Podzieliła się tą wiadomością z p. Heleną.

*Mimo to pojechałam do Czortkowa i na gestapo dowiedziałam się, że "mąż mój żyje i czuje się dobrze". Poszłam potem do znajomego strażnika więziennego, aby otrzymać prawdziwe wiadomości. Był bardzo zdenerwowany i odmówił mi pomocy w przekazywaniu listów i żywności twierdząc, że mąż opuścił z grupą współwięźniów Czortków i wyjechał do niewiadomego mu obozu. Wróciłam do domu.*

Jeszcze trzykrotnie jeździła p. Helena do Czortkowa w nadziei uzyskania znaku życia od męża lub jego współtowarzyszy. Na próżno. Po raz trzeci pojechała w grudniu 1942 r.

*Udałam się do strażnika więziennego - Polaka, nazwiskiem J. PYTLOWSKI<sup>9</sup> i zagroziłam mu, że wkrótce nadejdzie czas, w którym będą musieli zdać rachunek ze swej działalności przed rządem polskim. Wtedy powiedział mi całą prawdę. Wszyscy zostali (w liczbie 100 osób, bo tyle wymagał limit) rozstrzelani w dniu 24 sierpnia 1942 r. w lasach czortkowskich. O godz. 4 nad ranem wywieziono ich ciężarówkami, ustawiono nad dołem i rozstrzelano z karabinów maszynowych.*

*W 1946 roku zgłosiłam się w Wałbrzychu do Związku Więźniów Polit. Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych i otrzymałam tymczasową legitymację nr 365, wystawioną 8 sierpnia. W jakiś czas później poinformowano mnie, że mąż mój nie należał ani do "Gwardii Ludowej", ani do "Batalionów Chłopskich", wobec czego nie mogę należeć do tego Związku. Nawał pracy zawodowej i obowiązków rodzinnych oraz brak środków materialnych zmusił mnie do pozostawienia tych spraw swojemu biegowi (...)*

Postępowanie o uznanie za zmarłego Michała Romana Kłosowskiego przeprowadził Sąd Grodzki w Wałbrzychu dopiero w 1950 roku. W orzeczeniu podano: "miejsce śmierci nieznane".

*Gdy w grudniu 1942 r. dowiedziałam się prawdy od p.*

<sup>9</sup> Józef Pytlowski był żołnierzem AK, zaprzysiężonym w Czortkowie przez Józefę Solarską ps. "Ina". W czasie okupacji niemieckiej pełnił funkcję strażnika więziennego, współdziałał z polskim podziemiem i pomagał więzionym Polakom (przyp. I. K.).



*Pytlowskiego o rozstrzelaniu męża, podziękowałam mu za wszystko i przyrzekłam dotrzymania tajemnicy. Był przecież nadal strażnikiem więziennym. Nie spotkałam go już nigdy, ale zachowałam na zawsze we wdzięcznej pamięci. Wracałam do osieroconych (2- i 4-letniej) córek i na stacji Berezowica pod Tarnopolem czekałam 12 godzin na pociąg do Sambora.*

*Siedziałam w rogu poczekalni na walizce i zasłonięta gazetą płakałam gorzko cały czas. Podróżni siedzieli wprost na posadzce, ciasno obok siebie. Przede mną znalazło się jakieś starsze małżeństwo i obserwowało mnie. Wśród ogólnego milczenia, usłyszałam nagle taki dialog: - "ona na pewno straciła kogoś bliskiego, męża albo kochanka, bo tak bez przerwy płacze". Co kobieta skomentowała: "na pewno kochanka, po mężu tak się nie płacze".*

*Gdy nadszedł upragniony pociąg dałam upust mojej rozpacz. Była noc. Gdy pociąg ruszył, wychodziłam na korytarz, otwierałam okno i krzyczałam z rozdzierającego bólu. Nikt mnie wtedy nie słyszał prócz Boga, i nikt nie komentował. Gdy splekana wróciłam na swoje miejsce w przedziale, pan siedzący naprzeciw powiedział: "Czemu pani płacze? Przecież jest pani żoną bohatera. Czy to nie dosyć?"*

*Buguszów-Gorce, 10-16 marca 1993 r.*

Uzupełnienie:

Udało mi się uzyskać jedynie następujące informacje o rozstrzelanych więźniach, ale czy wiarygodne?

1. Od mgra Józefa Osieckiego: Miejscem rozstrzelania 100-osobowej grupy więźniów w sierpniu 1942 r. był las "Basiówka", własność hr. Potockiego z Uhrynia. Do tego lasu przylegało pole Karola Wojewody z ul. Browarowej w Czortkowie, który wykorzystując tę okoliczność, widział w lesie trzy długie świeże mogiły rozstrzelanych.
2. W sierpniu 1997 r. dowiedziałam się w Czortkowie od znajomej Ukrainki, że w lesie "Basiówka" Niemcy rozstrzelali wówczas dużą grupę Żydów, a wśród nich naszego profesora gimnazjalnego (Calela Rattnera).
3. W monografii Czortkowa<sup>10</sup> znalazłam na str. 183 informację, że w sierpniu 1942 r. aresztowano i rozstrzelano w lesie "Basiówka" za Sieniakową - 92 Żydów. (Wg tej informacji następna egzekucja

<sup>10</sup> Marek Ściślak "Czortków w latach 1522 - 1946". Wrocław 1993. (przyp. I. K.).

Żydów miała miejsce 16 września).

4. Niedawno otrzymałam pisemne potwierdzenie, p. Stanisława Muszyńskiego ps. "Vickers", że las zwany "Basiówką", położony przy szosie Czortków-Uhryń był istotnie własnością hr. Potockiego z Uhrynia. Ale Żydów rozstrzelali Niemcy przeważnie w pobliżu szosy Czortków-Jagielnica, za górnymi koszarami. Podczas II przyjscia Sowietów dokonano pod Jagielnicą eks-umacji rozstrzelanych Żydów przez Niemców. W pracach komisji brał udział O. Mateusz Schutter. Wg jego relacji "każdy grób masowy był długi na ok. 50 m. W każdym grobie było 17-18 warstw, a więc w każdym było ok. 1700-1800 osób. Takich grobów było kilka".

Przy analizie nasuwa się przypuszczenie, że jeśli wyznaczony przez gestapo limit więźniów na rozstrzelanie wynosił 100 osób, rozstrzelano zaś - 92 Żydów, to brakujące 8 osób stanowić mogli inni więźniowie, np. "samborscy". W Czortkowie mówiło się w 1942 r. o rozstrzelaniu w tym czasie nauczycielki p Schäfferowej, (która uczyła podczas okupacji w Jagielnicy) oraz ucznia gimnazjalnego nazwiskiem Ksawery Muzyczka.

Po informacji uzyskanej od p. Osieckiego napisałam do p. Heleny Kłosowskiej i zaproponowałam jej wyjazd z naszym Klubem do Czortkowa w sierpniu 1996 r. Bardzo długo nie otrzymywałam odpowiedzi. W maju 1996 r. odpisała na mój list starsza córka p. Heleny. Doniosła o śmierci Matki we wrześniu 1995 r. wyrażając żal, że nie doczekała ode mnie wiadomości.

W kolejnej wycieczce Klubu w sierpniu 1997 r. wzięły udział Córka i Wnuczka p. Heleny. Pierwsze kroki w Czortkowie skierowały oczywiście w stronę więzienia. Niestety, nikt z obecnych mieszkańców miasta nie mógł nam udzielić informacji o miejscu tamtej egzekucji.

Sprawa pozostaje więc nadal otwarta. APELUJĘ do wszystkich Czortkowian, którzy mogą wnieść choćby trochę światła do omawianej sprawy - ODEZWIJCIE SIĘ!!! Może ktoś zna adres p. Józefa Pytlowskiego?

P. S. Powyższą historię publikuję po uzyskaniu zgody i akceptacji p. Wiesławy Puskarz, starszej córki pp. Kłosowskich.

## SPROSTOWANIE

W książce J. Białowasa pt. "Wspomnienia z Iłhowicy na Podolu" wydanej w 1997 r. autor opublikował wiadomości o rodzinie pp. Szczepankiewiczów uzyskane listownie ode mnie. Na stronach 159 - 161

tekstu zaistniał błąd, który pragnę niniejszym sprostować: kolegą dr Antoniego Szczepankiewicza był mój brat - weterynarz Dionizy Popiel, a nie mój mąż jak podał autor.

Anna Popiel-Majchrzak

Za: Jerzy J. Szewczyński  
 "Nasze Kopyczyńce"  
 Wyd. Heldruk, Malbork 1995 r.

**Wspólnota żydowska w Kopyczyńcach  
 (woj. tarnopolskie)  
 Relacje naocznego świadka wydarzeń  
 Isydora Dienera z Nowego Jorku  
 Cz. IV**

6 lipca 1941 r. pojawiły się w godzinach popołudniowych pierwsze niemieckie motocykle wojskowe, trochę później ozdobiony kwiatami pierwszy niemiecki czołg, a na nim - jako przewodnik - jeden z miejscowych Ukraińców. Nad siedzibą b. Kółka Rolniczego i budynkiem Starostwa powiewały już sztandary ze swastyką i niebiesko-żółte ukraińskie. Dla Ukraińców był to dzień nieopisanej radości, dla Polaków oznaczał tylko zmianę okupantów, a wśród Żydów wzbudzał największe obawy. W rzeczywistości okazał się początkiem końca istnienia środowiska żydowskiego w Kopyczyńcach i powiecie.

Oficjalnie powitał wkraczający Wehrmacht chlebem, solą i kwiatami dr Kornowa, jeden z czołowych skrajnych nacjonalistów ukraińskich. Już w drugim dniu nowej okupacji pierwszą ofiarą oprawców został Abraham Haliczer, kupiec. Niemcy weszli do jego mieszkania i zamordowali na oczach rodziny. Na ulicach miasta pojawiły się rzesze młodzieży ukraińskiej w mundurach, z bronią i bez broni. Ich pierwszym zadaniem było odnowienie tradycji "Siczy". Wkraczali więc bez powodu do żydowskich mieszkań, bijąc i gwałcąc. Schwymano też 7-miu komunistów, m. in. syna adw. Andermana. Wallach, Resental i Szapiro zostali zasądzeni na śmierć przez zorganizowany na gwałt sąd ukraiński, z b. dyrektorem szkoły ukraińskiej na czele.

Do masowego pogromu nie doszło, może dzięki interwencji umiarkowanego nacjonalisty Kapustyńskiego. W innych natomiast miejscowościach rozpoczęły się krwawe zajścia. Setki, tysiące Żydów ginęło od miecza i ognia rozwydrzonych nowoczesnych "kozaków" i "hajdamaków", do których przyłączały się zwyczajne opryszki i mordercy. Przypisywano Żydom wszelkie możliwe przestępstwa, włączając najnowsze - "żydokomunę" ! Nie pomogły nawoływania metropolity Szeptyckiego we Lwowie, ani księdza greko-kat. w Husiatynie - Raczenki, potępiających z ambon te barbarzyńskie orgie, których *Bóg nie rozgrzeszy ani ludzie nie wybaczą*. Na naszych ulicach i w zaułkach miasta szalał terror. Wyciągano Żydów z domów do przymusowej pracy,

bijąc przy tym niemiłosiernie. Mego ojca zapędzono do grzebania rozstrzelanych jeńców radzieckich. Wrócił do domu pobity nahałkami ukraińskich policjantów i załamany duchowo. 12 lipca władze niemiecko-ukraińskie ogłosiły, że każdy Żyd, Żydówka i dziecko żydowskie od 5 r. ż. muszą nosić na rękawie białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida. Żydom zabroniono chodzić po głównej ulicy miasta, posiadać aparaty fotograficzne i broń. Wprowadzono godzinę policyjną oraz wiele innych zakazów. Rewizje i wtrącanie do więzienia były na porządku dziennym.

Do naszego mieszkania wszedł pewnej nocy Homonko w towarzystwie dwóch policjantów. Był kiedyś naszym (moim i siostry) nauczycielem. Szukał pod łóżkiem rzekomo ukrytych tam komunistów, a zabrał moją kolekcję zagranicznych znaczków pocztowych. Na czele bandyckiej policji ukraińskiej stanął Hnatiwskyj, "wykształcony" zaciekle nacjonalista z Wasylkowiec. Osiadł później w Ameryce, gdzie prawdopodobnie zakupił dużą farmę.

Wielu nacjonalistów ukraińskich jak Babij, Berkowicz, już w 1940 roku przepравиło się przez San, trafiając do nacjonalistycznych gniazd otoczonych opieką przez Niemców. Potem triumfalnie powrócili i urządzali rzezie, najkrwawszą chyba we Lwowie.

Po zajęciu przez Niemców Kijowa Ukraińcy oczekiwali proklamowania niepodległej Ukrainy. Nie doczekali się! Niemcy podzielili Ukrainę na kilka części.

Już w pierwszych dniach okupacji władze niemieckie zarządziły utworzenie Judenratu. W skład którego z urzędu miało wejść kilka poważnych osób, odpowiedzialnych za administrację dzielnicy żydowskiej, utrzymywanie porządku, a przede wszystkim skrupulatne wykonywanie zarządzeń władz niemieckich i ukraińskich. Utworzono również Ordnungsdienst (coś w rodzaju policji). Członkom Judenratu i owej policji zapewniono przywileje i nietykalność. Szefem Judenratu został Herman Roller. Gestapo objęło nadzór nad ludnością żydowską, wśród której dominowały teraz uczucia skrajnej beznadziei. Ale nie można było nic zrobić.

Do wielu domów zakradły się na początku jesieni głód i choroby. Zapowiedź naszego losu zobaczyliśmy w "widowisku" pędzonych bez celu z miasta do miasta Żydów z Rusi Zakarpackiej, wyrzuconych stamtąd pod pretekstem niemożności ustalenia ich obywatelstwa. Po drodze setki starców i dzieci umierało z wycieńczenia i głodu. Był to widok godny pożałowania. Pomagaliśmy im jak mogliśmy. W kilka tygodni później tysiące innych nieszczęśliwych ludzi zostało rozstrzelanych, a reszta wtrącona do Dniestru w pobliżu Kamieńca Podolskiego.

Codziennie setki ludzi musiało stawić się na rynku przed budynkiem Judenratu do przymusowych robót. Na początku zimy Niemcy zaczęli

organizować obozy pracy, które w krótkim czasie przekształciły się w obozy śmierci. W okolicach Tarnopola znajdowały się we wsiach: Kamionka, Borki Wielkie<sup>11</sup> i Głuboczek. Największym obozem była Kamionka<sup>12</sup>. Jego kierownikiem był SS-man z Sudetów Tomanek, sądzony po wojnie przez sąd niemiecki. Jednym z głównych oskarżycieli był cudem ocalały Jankiel Salzberg z Kopyczyniec (zmarł niedawno w Brazylii). Okrucieństwa w tych trzech obozach nie różniły się niczym od stosowanych w Majdanku czy Oświęcimiu.

Ciągłe łapanki w okręgach Czortków i Tarnopol zapełniały te obozy nowymi ofiarami. 15 marca zapędzono 200 Żydów do oczyszczenia drogi do Czortkowa, nieprzejezdnej po wielkiej śnieżycy. W pierwszym dniu po selekcji w Kamionce rozstrzelano 5 osób z Kopyczyniec, w tej liczbie mego wuja B. Grossa (brata mojej Matki). Kamionkę przeżyło niewielu, a z Borek Wielkich nikt nie uszedł z życiem. W jednej z obław zostałem złapany, ale udało mi się zbiec.

Zimą 1942 r. pozwolono na otwarcie w gettcie kopyczyńskim "Judische Selbsthilfe" (Żydowską Samopomoc), która otworzyła kuchnię dla biedaków i zajęła się dobroczynnością. Na jej czele stanął inż. Silberstein, wywodzący się z rodziny b. posła do Sejmu II RP, (który uciekł do Szwajcarii). Inż. Silberstein został wezwany na przesłuchanie do gestapo w Czortkowie i wkrótce słuch o nim zaginął.

Wiosną 1942 r. getto zostało wstrząśnięte nowym okrucieństwem. Wczesnym rankiem Judenrat był zmuszony dostarczyć Niemcom 100 dziewcząt do przymusowej pracy w okolicy Jagielnicy. Akcja miała przebieg bardzo brutalny. Dziewczęta wyciągano z domu za włosy, bito kijami i wrzucano do oczekujących samochodów ciężarowych. Do dzisiaj brzmi mi w uszach ich krzyk i płaczliwe zawodzenie. Tylko nieliczne powróciły.

A Niemcy żądali wciąż nowych ofiar.

c.d.n.

*Władysław Kubów*  
*Warszawa*

### **Książka jakich mało!**

#### **Jan Białowąg: Wspomnienia z Ihrowicy na Podolu - banderowska rzeź ludności polskiej w Wigilię 1944 r.**

<sup>11</sup> Ściślej we wsi Stupki (odległość od Borek Wielkich kilkaset metrów). Likwidację tego obozu oglądałem na własne oczy. To co zobaczyłem opisałem w moich wspomnieniach "Biblioteczka Podolska, zeszyt 5, 1997r. (przyp. J. Stopa).

<sup>12</sup> W obozie dla Żydów w Bogdanówce-Kamionkach czasowo przetrzymywany był mój kuzyn śp. Józef Rybak ze Zbaraża. Żona jego śp. Franciszka wielokrotnie odwiedzała go w obozie. (przyp. J. Stopa).

Jan Białowąs, nie będąc historykiem ani pisarzem<sup>13</sup>, postanowił dać świadectwo prawdzie. Opisał i udokumentował wydarzenia, jakie rozegrały się ponad 50 lat temu w jego rodzinnej wsi. Był naocznym świadkiem przedstawionego w książce ludobójstwa.

Wcześniej wydał drukiem niewielkie opracowanie na powyższy temat, zatytułowane: "Zdawało się że pomarli, a oni wciąż żyją". Wraz z bratem Władysławem był inicjatorem wzniesienia pomnika ku czci ofiar. Rodacy z Ihrowicy, Kurnik, Kołodna i Netreby, którzy przeżyli zbrodnie banderowców, zrealizowali wspólnym wysiłkiem tę cenną inicjatywę.

Nowa publikacja Jana Białowąsa wyszła drukiem pod koniec 1997 r. i została wydana własnym sumptem Autora. Zawiera ponad 200 str. druku, 36 fotografii, dane liczbowe oraz relacje byłych mieszkańców Ihrowicy, którzy uniknęli śmierci. W tym ujęciu stanowi wartościowy dokument historyczny.

Na wstępie przekazał Autor historię rodzinnej miejscowości - jej powstanie, położenie geograficzne, erygowanie parafii rzym.-kat., odradzanie się polskości w czasie zaboru austriackiego i odzyskanie niepodległości w 1918 roku. Zamieścił imienną listę Polaków zamieszkałych w Ihrowicy oraz pierwszych ihrowiczian urodzonych w niepodległym kraju, a także listę absolwentów szkół średnich wywodzących się z Ihrowicy.

Opisał współzycie w odrodzonym państwie polskim trzech narodowości: Polaków, Ukraińców i Żydów. Przekazał informacje o zachowaniu się przedstawicieli tych narodowości w chwili wybuchu wojny polsko-niemieckiej w 1939 r. i ich współzycie podczas kolejnych okupacji: sowieckiej, niemieckiej i ponownie sowieckiej. Wprawdzie Polacy stanowili w tej dużej wsi, liczącej ponad 430 kominów, tylko 30% mieszkańców - byli jednak dobrze zorganizowani (zarówno w latach międzywojennych, jak i podczas okupacji), a stosunki narodowościowe we wsi były poprawne. Było dużo rodzin mieszanych (polsko-ukraińskich), nawet sam Autor wywodzi się z takiej właśnie rodziny. Nic nie wskazywało na możliwość wydarzenia się w przyszłości kainowej zbrodni.

A kiedy 24 grudnia 1944 roku zasiadły kobiety z dziećmi i starymi rodzicami (mężowie i bracia byli na wojnie) do skromnej, okupacyjnej Wieczerzy Wigilijnej, napadły na spokojną wieś uzbrojone hordy banderowskich morderców - tak zwanej UPA - i wyrznęły w barbarzyński sposób 92 osoby polskiej narodowości oraz jedną Ukrainkę<sup>14</sup>. Zginęłyby

<sup>13</sup> Jest pedagogiem i zawodowym wojskowym pilotem, płk w st. spocz.

<sup>14</sup> Napad na Ihrowicę przeprowadził Wołodymyr Jakubowśkyj (Bondarenko), który był sadystą. Dowodził on sotnią (kompanią) rajdową UPA. Urodził się w Założcach (Nowych) w woj. tarnopolskim, w rodzinie nauczycielskiej. Ukończył polską szkołę

znacznie więcej ludzi, gdyby proboszcz, ks. Stanisław Szczepankiewicz nie zaalarmował wsi sygnaturką. Kilkuosobowa rodzina księdza została wraz z nim zarębana siekierami.

Wielką zasługą Autora omawianej publikacji jest przedstawienie pełnej imiennej listy ofiar oraz relacji naocznych świadków. Pamiętał też Autor o polskich żołnierzach pochodzących z Ihrowicy, którzy polegli w obronie Ojczyzny i w walkach o jej wyzwolenie podczas II wojny światowej.

Nowością w tego typu literaturze wspomnieniowej jest przedstawienie imiennego wykazu banderowców i sympatyków OUN, którzy pochodzili z Ihrowicy i zginęli z rąk sowieckich.

W końcowej części książki umieścił Autor szczegółowe relacje z obchodów 50 rocznicy mordów w Ihrowicy, Kurnikach, Kołodnie i Netrebie, gdzie zginęło łącznie ponad 600 Polaków - dorosłych i dzieci. Wspomniana uroczystość odbyła się we wrześniu 1995 r. w Korfantowie na Opolszczyźnie. Poświęcony został wówczas piękny granitowy Pomnik upamiętniający ofiary i ich okrutną śmierć. Udział w uroczystości wzięły liczne rzesze rodaków z kraju, wiele osób przybyło też z zagranicy, głównie z Kanady.

W przekonaniu, że ta wartościowa publikacja spotka się z zainteresowaniem Czytelników, nie tylko Kresowian, ale tych wszystkich którym nie obca jest pamięć o Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej, polecam książkę gorąco.

Pan Czesław Blicharski - Tarnopolanin, autor wielu książek upamiętniających Ziemię Tarnopolską, gratulując Janowi Białowasowi wydanej pozycji, napisał: *Książkę przeczytałem jednym tchem, mogę śmiało powiedzieć, epopeję ihrowicką. Janko (Biłous) Białowas<sup>15</sup> odrodził się w Panu - godnym następcy duchowego przywódcy Ihrowicy. (...) Pozostał Pan wierny swojej małej ojczyźnie, wpisał ją Pan trwale w dzieje kresowej ziemi. (...) Gdy wypisywał Pan setki nazwisk mieszkańców (...) nie zdawał Pan sobie sprawy, że w tym momencie przywołał do życia nie tylko tych, którzy stali się ofiarami kainowej zbrodni, ale wszystkich ze wszystkich frontów świata i miejsc zsyłek, i zmarłych na emigracji, o których niekiedy zapomniiała rodzina. Na kartach Pańskiej książki stać będą w karnym ordynku po skończenie świata.*

---

lotniczą i uzyskał dyplom pilota. W 1938 r. został zwolnony z czynnej służby wojskowej za przynależność do podziemnej OUN. (Przyp. red.).

<sup>15</sup> Janko Biłous (Białowas) z Ihrowicy gorący patriota, wielce zasłużony działacz TSL w Tarnopolu przed I wojną światową. (Przyp. J. Stopa za: S. Srokowski "Jak lud polski wchodził w Polskę", Tarnopol 1928.).



**LISTA OFIARODAWCÓW**

(na działalność związaną z wydawaniem biuletynu)

1. Zbigniew Andruchów	Warszawa	30 zł
2. Ryszard Derkacz	Warszawa	10 zł
3. Józef Franczyszyn	Warszawa	5 zł
4. Henryk Hrankowski	Warszawa	10 zł
5. Władysław Kędzierski	USA	100 \$
6. Stanisław Manterys	Warszawa	50 zł
7. Bronisława Misztak	Warszawa	20 zł
8. Mieczysław Ostrowski	Szczecin	50 zł
9. Stanisław Rakowski	Kluczbork	100 zł
10. Józef Ruczyński	Warszawa	43 zł
11. Janina Saran	Warszawa	5 zł
12. Danuta Stanzel	Warszawa	10 zł
13. Helena Szmigielska	Warszawa	6 zł
14. Alicja Zegarowska	Warszawa	20 zł
15. Zygmunt Złoczański	Warszawa	5 zł

*Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.*

## SPIS TREŚCI

Wiesław BARCZYK	
Miodobory i Skałat. Cz. II .....	2
Poświęcenie kościoła w Starym Skałacie w woj. tarnopolskim .....	5
Władysław KOSOWSKI	
Służba Polsce nie zawsze jest sprawą prostą. Cz. III .....	7
Jadwiga PODLESKA	
Moje wspomnienia z Tarnopolszczyzny pod okupacjami (1939 - 1945). Cz. III .....	12
Ks. Kazimierz ORKUSZ	
Jak wysiedlano nas z Kresów i pierwsze spotkania z rzeczywistością .....	18
Irena KOTOWICZ	
Polskie losy. Cz. II .....	23
SPROSTOWANIE .....	26
Za: Jerzy SZEWCZYŃSKI "NASZE KOPYCZYŃCE"	
Wspólnota żydowska w Kopyczyńcach (woj. tarnopolskie). Relacja naocznego świadka wydarzeń Isydora Dienera z Nowego Yorku. Cz. IV .....	28
Władysław KUBÓW	
Książka jakich mało! Jan Białowąs: Wspom- nienia z Iłhrowicy na Podolu -banderowska rzeź ludności polskiej w Wigilię 1944 r. ....	30
LISTA OFIARODAWCÓW .....	33